ŚWIAT SZKOLNY



1936 Nr. 1



Łańcuch ofiar na F. O. N.

Zgodnie z uchwałą Zebrania Ogólnego członków Koła Pracy Społecznej dla Państwa im. J. Piłsudskiego przy I-szym gimn. państw. im. H. Sienkiewicza, z dn. 22. IX. 1936 r. Koło złożyło zł. 12. — (zł. dwanaście) na F. O. N. i wzywa do kontynuowania łańcucha Koło Pracy Społecznej przy gimn. J. Słowackiego i Spółdzielnię „Promyk" przy gimn. im. H. Sienkiewicza.

ZARZĄD KOŁA.

Zebranie delegatów „Świata Szkolnego" odbędzie się w dn. 21 b. m. w gimn. H. Sienkiewicza o godz. 5 p. p.

Prace do Redakcji „Swiata Szkolnego" nadsyłać proszę na ręce p. prof. Bojarskiej do gimn. H. Sienkiewicza albo kol. Kapuścińskiemu G. P. R. T. Prace winne być pisane bardzo czytelnie i po jednej stronie. Termin nadsyłania prac ubiega z dn. 28. X. br.

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok XI | Październik 1936 | Nr. 1 (60)

Od redaktora.

Żyjemy w epoce, którą charakteryzuje praca intensywna i walka dwóch sił: zło i dobra — ta odwieczna walka, która teraz rozgrywa się nie tylko wewnątrz każdego z nas, ale wśród społeczeństw i narodów. Chrystianizm i oparty o tradycje idealizm walczy z antychrześcijańskim materializmem. Lecz dziś mając przed oczyma przykłady Hiszpanii, Francji i Rosji — gdzie walki między poszczególnymi obozami, przedstawiającymi odrębne światopoglądy — stają się podobne dawnym walkom domowym z czasów Reformacji lub walkom Ligi Katolickiej z Hugenotami francuskimi — musimy dążyć do tego, aby w przyszłości nie było rozłamu wśród nas na dwa wrogie obozy. I właśnie nie kto inny, tylko my możemy temu złu zaradzić, gdyż nie zarażeni jeszcze szowinizmem partyjnym — jesteśmy bardziej synami niż lekarzami Matki-Ojczyzny. A mając jej dobro na względzie, nie trudno będzie nam uzgodnić swój światopogląd. Dlatego w epoce tak ważnej dla nas nie może być wśród młodzieży mowy o rozdwojeniach, spowodowanych brakiem porozumienia.

My, jako młodzież, który w przyszłości będzie spełniała swój obowiązek wobec Ojczyzny — musimy wystąpić jednolicie — a do tego potrzeba nam całkowitego porozumienia we wszystkich dziedzinach naszego życia. Wobec tego stawiam Wam przed oczy prawdę — nie są to narzekania na brak chęci i czynu z Waszej strony — ale na niezrozumiały stosunek Wasz do Waszego pisma. I stanęła ta prawda przed Wami i nie spostrzegacie jej. WASZE PISMO — oto prawda — której nie rozumiecie lub nie chciecie zrozumieć — tak przedstawia się Wasz stosunek do Waszego pisma. A przecież „Świat Szkolny“ — to pismo, które ma za sobą szczytne karty 10-letniej tradycji. Pismo, którego celem jest utrzymanie łączności duchowej między Wami, które powinno stać się pomostem, abyśmy mogli, stojąc na nim, porozumieć się w sferze interesujących nas zagadnień. Pismo to jest zaniedbane i skazane przez Was na wygnanie — jakbyście chcieli zerwać tę łączność i żyć sami dla siebie. A my, młodzi, przecież buntujemy się przeciw zmaterializowanemu porządkowi rzeczy — my, których mróz nie zwarzył, powinniśmy żyć dla szczęścia naszego, wspólnego i tworzyć jeden front młodzieży — o której tak pięknie mówi Mickiewicz:

Młodości, tobie nektar żywota
natenczas słodki, gdy z innymi dzielę
serca niebieskie poi wesele,
kiedy je razem nić powiąże złota.
Razem, młodzi przyjaciele!
w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.

Wspólne cele, młodość i wspólny teren pracy nas łączy, czemuż więc mamy stronić od siebie lub być obojętnymi? Nie bądźmy starzy! Zabierzmy się do pracy nad sobą. Świat cały śledzi nas i czeka na nas, wierząc w naszą moc i siłę. W odpowiedzi czekamy na Wasze prace.

REDAKTOR.

Otwieramy nowe działy:

a) dział p. t. „My i „Świat Szkolny“ — do którego proszę nadsyłać wszelkie prace i uwagi na temat: Czego życzyłbym sobie od „Świata Szkolnego“? Jakim pragnąłbym go widzieć? Co chciałbym, by zawierał?;

b) dział książek, godnych przeczytania.

Święta postać.

Mija 400 lat od rocznicy urodzin ks. Piotra Skargi, największego naszego kaznodziei, publicysty i proroka. Postać to wielka, człowiek natchniony widzeniem przyszłości i wpatrzony w tę przyszłość ze zgrozą i trwogą. Postać święta, harmonizująca słowo z czynem. Artysta, ale nie ten, który opisuje niezrealizowane marzenia własnej duszy i zwierzenia o tym, jakim chciałby być. Nie ten, przez którego „płynie strumień piękności — ale sam nie jest pięknością" — P. Skarga, to poeta czynu i bohater dnia szarego. Żadne słowo jego nie było czczym frazesem — każde było wcielone w życie.

Ks. Skarga to prorok chylącej się do grobu Polski — ciskający gromy na poniżenie i obezwładnienie władzy królewskiej — wypominający prywatę, obdzieranie Ojczyzny, niezgodę domową i niemoralne życie prywatne — niedołęstwo i rozpasanie „ojców Ojczyzny" — domagający się poprawy i ratunku. Skąd brał siłę i początek każdy jego czyn i słowo? Ani szeroki horyzont myślowy, ogarniający całą ludzkość — nie zaciemniony przesądami społecznymi, ani energia i talent oratorski — ani siła woli — nie były głównymi motorami działalności ks. Skargi. Miłość Boga i miłość bliźniego oto źródła, z których wzięte myśli muszą być wieczne, jak wieczne jest prawo boskie. U nas przyjęto uważać miłość Boga za czynnik nieżyciowy, stwarzający ludzi oderwanych od normalnego życia. A przecież miłość Boga nie wyklucza innej W miłości bożej jest miejsce na wszystko. Dlatego Skarga kocha Boga, Ojczyznę i bliźnich. Bez tych uczuć nie ma pełnego i doskonałego człowieka. A te właśnie charakteryzują dzieło i życie ks. Skargi. Dzieło ks. Skargi jest żywotne i aktualne i utrzymuje się w ciągłej młodości i świeżości, gdyż opiera się na wierze, z której czerpał autor wszystkie swe myśli i według której postępował i działał w życiu publicznym i prywatnym.

Z. K., G. P. R. T.

WAKACYJNY KONKURS LITERACKI:

1) Na konkurs fotograficzny przysłano kilka zdjęć, żadne z nich jednak nie odpowiada tematowi, a poza tym nie są dość ostre, by je można było reprodukować.

2) Z prac, nadesłanych na konkurs literacki, Komitet Redak. wybrał najlepsze, które poniżej drukujemy.

Śmiech leśnej boginki.

Dzień wstał chmurny, rozśpiewany w wichrze, niczem nieokiełznany. „Stormy weather" panowała niepodzielnie.

Jak dobrze jest w taki czas, iść przed siebie, bez celu, prosto w szalejący wiatr; patrzeć, jak ołowiane chmury najrozmaitszych kształtów, w zawrotnym tempie pędzą po niebie i słuchać szumu wichury. Czasem rzucam się w wysokie, soczyste trawy nadrzeczne — jestem sama ze swymi myślami — nade mną dumne korony drzew z gwarem i wrogim poświstem staczają odwieczną walkę z hulającą wichurą, i choć uginają wierzchołki, smukłymi pniakami tęgo wsparte w pachnącą glebę, zwycięskie zostają na placu boju i słuchają razem ze mną, jak wariat wiatr z obłąkańczym chichotem pędzi swoimi szlakami...

Jak dobrze jest wyciągnąć się z rozkrzyżowanymi ramionami na łysych, podleśnych pagórkach i słuchać nieskończonego gadania wiekowych dębów i olch.

Żebyż ludzie wiedzieli, jaka niesamowicie interesująca powieść drzemie ukryta w chmurach podczas burzliwej pogody — jakieś tragiczne ruiny umarłej dawno cywilizacji, jakieś kadłuby zatopionych statków, góry niebotyczne, ginące w nieznanym, sino - błękitne zwały śniegu, jakieś głowy mitycznych olbrzymów; jakieś walki tytanów rozgrywają się tam... w niebiosach. Lubię podleśną, wyniosłą polanę, gdy stanę na skraju lasu, ciepły wiatr rozgarnia mi włosy, łobuzerskim dotknięciem rzuca mi w oczy puchem dzikiego ptaka, otula mnie całą czymś tak zwiewnym, tak miękkim, jak mgła lub pajęczyna.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ku południowi uspokoiło się wszystko, ucichło — wiatr zapadł gdzieś w lasach i wielki spokój zapanował.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nadchodzi już wieczór — siedziałam na zwalonym drzewie, nad brzegiem rzeki; cicho było, tylko fale lekko szemrały i lśniły się refleksami krwawo zachodzącego słońca. Wąski pas lasu dzieli mnie od ulubionego miejsca mych spacerów — jest tam za ścianą boru przestrzeń równa, pokryta kępami wrzosów i bagiennego ziela; tu i ówdzie wznosi się po-

szarpany pagórek — niezagojony wrzód po wyrwanym niegdyś drzewie, gdzieniegdzie błyska zwodniczo i ostrzegawczo zarazem oko bagna — ciemne i niezgłębione jeziorko, w którym nie wiadomo co drzemie. Takie tam wszystko umarłe, spokojne, jakby zakamieniałe, zda się, że wszelkie życie utonęło na zawsze w lepkim, bronzowym bagnie; nawet smukłe, młode brzózki zdają się płakać nad czymś, co umarło w tych bagniskach. — A jednak lubię tam chodzić, coś woła mnie stamtąd, lubię czuć pod stopami zmierzwioną gęstwę wyschłych korzeni, które niebaczne, wychynęły nad ziemię, by umrzeć. Dziwnie mnie też jakoś nastrajają powykręcane fantastycznie, karłowate choinki, stojące samotnie tu i ówdzie wśród niskiego podszycia i monotonnego fioletu polan wrzosowych. — Gdy wróciłam na łąki, już trawy uginały się pod ciężarem rosy, już podnosiły się zwiewne mgły i brzęczały cienko komary. Niemal obco jest oddychać wśród tej srebrzystej mgły, wyczuwa się prawie obcość, wrogość atmosfery. Jakiś inny, tajemniczy świat o tej porze rozpoczyna swe życie. Weszłam na wysoki nasyp i spojrzałam za siebie — cóż za dziwy, fantastyczny wprost widok! Rzeka srebrzyła się jeszcze i różowiła refleksami zaszłego przed chwilą słońca. Na niebie utworzyły się jakieś kombinacje chmurek o niewysłowionej barwie, które dawały złudzenie perspektywiczne dalekiej, tajemniczej, nie kończącej się drogi — ale świat inny, świat tajemniczej mgławicy rozpoczynał się dopiero na łąkach! Zielona, soczysta trawa, ciepłe promienie słońca, gwar robaczków w południowym skwarze zdawał się nierealnym złudzeniem przeszłości — przede mną rozciągała się jakaś obca, fantastycznie piękna kraina cieni i srebrzystych mgieł. Zwarta bryła lasu czerniła się odpychająco — przezrocze zwoje mgieł osłoniły ją zazdrośnie cieniuchną powłoką, ukazując tylko wierzchołki, które na tle wyblakłego błękitu utworzyły najczarowniejszą koronkę. Można upić się pięknem takiego wieczoru, w uszach przewijają się uparcie przesubtelne, miękkie, lotne jak mgiełka tony nokturnu ze „Snu nocy letniej". Zdawało mi się — byłam niemal pewne — że z oparów i cieni nadrzecznych zarośli wybiegają chyłkiem lekko zwiewne postacie najad — wodnych boginek; wloką za sobą treny mgieł i oparów srebrzystych i sennych, wygiętym łańcuchem snują się po łęgu podleśnym — cicho jak duchy; łamie się ten łańcuch, wygina, jak zwoje olbrzymiego węża, pełza... wzdymają się lotne a prężne szaty nimf, unoszą się wyżej, przesłaniając krzaki i bujne trawy... Co to?... ach, zdawało mi się, że zabrzmiał srebrzysty śmiech płochliwej boginki, jak rozswawolone krople leśnego strumyka dźwięczące cichutko po krągłych kamyczkach — taki to był śmiech... czy najady?

Jakie te drzewa i krzaki mają fantastyczne kształty! Ot naprzykład tamta grupa łudzącą przypomina mi koniki morskie, otulone zwojem muślinu... tamto znów drzewo jakimś błagalnym gestem wyciągnęło ramię odosobnionej, złamanej gałęzi ku niebu i sterczy tak, jak niema skarga — za co? Jakież te boginki płoche i lotne, snują się po całej łące i wloką wszędzie za sobą swe niematerialne płaszcze, tu niżej je rozsnuwają, tam wyżej, a srebrzysty sierp księżyca patrzy na ich czarowny taniec, jakby nie czuł, jakby nie widział jego piękna. W pewnej chwili zdawało mi się, że zazdrosna zasłona uchyliła się i oto ukazał się mym oczom chwiejny tłum duchów, owianych mgłą, słaniających się bezwładnie na wszystkie strony... ale ta chwila jak przyszła, tak przeszła szybko...

Spojrzałam na drugą stronę nasypu. Tam było wszystko inne, ponure, złe i umarłe. Wesoła w dzień łąka zdawała mi się teraz podobna do olbrzymiego, nieruchomego stawu, zamarłego w swym bezruchu, owianego przeklętą, zgniłą wonią. Niebo z tej strony nieruchome było, o męczącej ołowiano-granatowej barwie — jakieś ciężkie a bezwładne, jakby przygnieść miało za chwilę i zniszczyć swym ciężarem zamarły w przerażeniu świat. Drzewa przytuliły się trwożnie na brzegach owego mglistego stawu; gdzieś tam na środku wychynął czarny krzak, jak bezradne ramię zsiniałego topielca, wyciągnięte ku niebu — wszędzie tam wiało śmiercią, wszystko tam było trupem... udusić się można w tych mgłach przeklętych! Poszłam szybko przed siebie, a za mną jeszcze pełzały lepkie macki mglistych gadów...

Obejrzałam się znowu — rysowały się w dali niejasno konary wyniosłych drzew, a dołem słało się srebrzyste morze mgieł. Cicho było i spokojnie, jak w jakimś zwiewnym śnie letniej nocy...

Ka-Wu., G. P. J. S.

Z życia obozowego.

Współtowarzyszom doli i niedoli.

Buch!... Buch!... Buch!...

Wszystkie nogi podnoszą się miarowo, jakby pociągane sznurkiem, a najeżone gwoździami buty, „prawdziwe", żołnierskie buty, walą władczo w piachy skierniewickiej ziemicy. Tumany pyłu unoszą się nad maszerującym oddziałem... Słychać tylko ciężkie oddechy junaków, zgrzyt podkówek a kamieniach, lub meta-

liczny dźwięk potrąconej manierki. Czasem ktoś zachłyśnie się pyłem, odkaszlnie i splunie „żywą ziemią“ lub soczystym przekleństwem pod adresem „ciężkich warunków terenowych“.

Nareszcie!...

W dali majaczą niewyraźne kontury baraków — kres cierpień... Jakoś się piersi sprężą ostatnim wysiłkiem, głowa do góry się wzniesie, a zmęczone nogi raźniej uderzą w takt gderliwych, a groźnych, jak zmora słów maszerującego obok szefa:

— Raz-a-a, dwa-a-a,
raz-a-a, dwa-a-a!... —

Jeszcze tylko jedna Scylla i Charybda — u samych „wrót do raju“ — rozkaz rzucony grzmiącym głosem:

— Kompania śpiewa!... Raz-a dwa! — (Major, dowódca grupy musi widzieć, że junacy są pełni sił, zapału i ochoty nawet po czterogodzinnych ćwiczeniach pod palącym słońcem lipca!)

Wtedy z zakurzonych gardzieli wydziera się ryk, już nie śpiew — jakieś chrapliwe, nieartykułowane dźwięki kompanijnej piosenki...

Mruczą coś tylko pod nosem wieczni opozycjoniści, agitujący przed chwilą za strajkiem.

A potem, kiedy już minie wszystko: i czyszczenie broni i „szorowanie własnych cielsk“ i obiad i mycie menażek — i „to wogóle“ — legnie sobie junak gdzieś wcieniu zapomnianej... sosny — i odpoczywa, marzy, a przede wszystkim próżnuje...

To są światła jego obozowego życia... światła w cieniu...

Przeszło już parę miesięcy od obozów... Czasami tylko snują się przed oczyma w szare, jesienne zmierzchy — barwne wspomnienia obozowych dni, gdzie owo „ciemne“ i „jasne“ łączyło się w jedną przecudną harmonię. I chociaż były nieraz chwile przykre, to jednak dzisiaj bez rozrzewnienia nie wspominam juanckich, dobrych czasów. Widzę płynące wolno dni, błyszczące krasą lipcowego nieba, pełne gwaru, życia, tętniące pieśnią z młodych piersi junaka!

Niezapomniane!...

Każdy dzień podobny był do minionego, a każdy przecie nowy, każdy oczekiwany...

Droga na ćwiczenia, wijąca się krętym wężem wśród pachnących żywiczną wonią sosnowych lasów — była naszą codzienną „drogą krzyżową“ junaków.

Karabin, wierny druh, uwierał nieznośnie obojczyk, i... pozostawał zawsze tak samo obojętny, głuchy i zimny (stalowa lufa!) zarówno na prośby i skamłania nasze, jak i na zgrzytliwe przekleństwa...

Buty, nasmarowane tłuszczem, parokilowe, „gruboskórne“ buty, nigdy niepotrzebna maska, wiecznie niezadowolona ze swego położenia łopatka — wszystko to niknie, blednie, kurczy się, maleje w cieniu krzaczastych brwi i stalowych oczu „demona“ — kompanijnego szefa.

No, ale co tam dużo mówić — złoty był chłop „z kościami“ — morowy „szefunio“! — że tam czasem „sklął, jak diabli“, „z błotem zmieszał“ — to... przecież wszyscy jesteśmy tylko ludźmi!

Ba! wszystko, wszystko, cokolwiek wchochiło w skład naszego życia obozowego — nawet rzecz, tak zdawałoby się prosta i nieskomplikowana, jak nasz obiad — miała, musiała mieć „światła i cienie“...

Światła: zupa — hm! — smakowała, jakby była podana w „pirszoklaśnej“ restauracji, mięso — „owszem“, kompot — „smutna rzeczywistość“.

Cienie: kuchnia oddalona o dobre 300 mtr. od obozu, gorącą zupę na „100 ludzi“ trzeba było we dwóch przydźwigać, parząc sobie nieraz nożyska, kotlety — elastyczne i „miękkie“, nadzwyczaj pasujące i starające się na wszelkie możliwe sposoby upodobnić do... skóry słonia, lub „prostej“ podeszwy, no i tak dalej... A jednak zdrowe, rzeźkie powietrze, długie marsze zaprawy, przyczyniły się walnie do tego, że nieprawdopodobne wprost porcje znikały w naszych żołądkach... I to były światła!

— Zbiórka na ognisko!... Zbiórka-a-a-a! Kompania trzecia zbiórka-a-a-a!... — drze się, jak opętany służbowy podoficer. A za chwilę długi, wyprostowany dwuszereg łamie się sprawnie w kolumnę czwórkową.

Naprzód marsz!

Kompania rusza. Droga prowadzi wśród drzew. Mrok już powoli zapada. Chłodne powiewy idą wraz z sinymi oparami od szemrzącej w dali Rudawki. A nad maszerującymi oddziałem leci gromko pieśń o dawnej sławie napoleońskich, złotych orłów

„A czyjeż to imię rozlega się sławą,
Kto walczył za Francję z Hiszpanami
krwawo...“,

lub pełna rzewności i smętna:

„O mój rozmarynie, rozwijaj się...“

Przychodzimy na obszerny plac. Na środku stos chrustu, a wokół isedzą rozgwarzone szeregi junaków. Nagła cisza. Czyjś rozkaz. Szeregi podrywają się. Baczność!... Przychodzi major. Raport. Siadamy znowu. Za chwilę płonie ognisko, a w kręgu jego światła widzimy produkcje rodzimych, obozowych artystów...

Wracamy do obozu. Jest już zupełnie ciemno. Raport, modlitwa i w chwilę później rozbrzmiewa wraz z tysiącem ech i poszumem drzew pieśni: „Wszystkie nasze...“

— Baczność! Do namiotów rozejść się!...

Rozpierzchamy się. Za plecami słyszę jakiś szept:

— Panie kapralu! Czy będzie w nocy alarm? Bo...

— Nie wiem, kto ich tam wie! — mruczy niechętnie „pan“ kapral...

— Och! znów będę chyba w butach spał i mundurze, bo się przecież ubrać nie zdążę... Po ciemku!...

Bucha śmiech... Wszyscy patrzą na owego skamlącego „nieszczęśliwca“... — Wreszcie po długich tarapatach dostaję się poomacku na swoje „wyrko“. Twarda ze słomy poduszka już nie wydaje się tak kamienną, jak jest w gruncie rzeczy — bo nareszcie jest spoczynek na 9 godzin!

— Dobranoc!... W kącie namiotu kwili jeszcze ten sam głos: „żeby tylko dziś nie było alarmu... Rozebrałem się przecież, nawet buty zdjąłem...“ A z drugiego kąta lecą do mnie przyciszone szepty jakichś „kawałów“.

Zasypiam twardym snem...

...A potem, gdy już sapiący parowóz uwoził w dal do rodzinnych miast, do miękkich poduszek i zup na porcelanowych talerzach, zahartowaną, buńczuczną gromadę junaków, słyszałem, jak spośród nieustannych śmiechów, szampańsko-szumnej radości padło uroczyste stwierdzenie największego opylacza i malkontenta:

— A jednak byczo było na obozach... Szkoda słów!

— Tak, szkoda słów... — podchwycono, za chwilę przez okna wagonu poleciała aż po horyzonty pieśń:

„A kto chce rozkoszy użyć,
Niech do wojska idzie służyć...“

i jakaś inna, stwierdzająca, że jednak na obozy składają się oprócz cieni, słoneczne, niezapomniane światła.

Niezapomniane!...

W. Radłowski, G. P. H. S.

CZY WSZYSCY SIĘ ZGADZAMY?

Dział dyskusyjny, który cieszył się w ub. r. szkolnym dużym powodzeniem, zaczynamy w pierwszym powakacyjnym numerze poniższym artykułem. Dyskusja otwarta.

Wojna domowa w Hiszpanii.

Z wielkim zainteresowaniem śledzi obecnie świat wypadki rozgrywające się w Hiszpanii. Nieszczęśliwa ta Hiszpania? Nie zagoiły się jeszcze rany po krwawych rozruchach, które groziły krajowi rozkładem w r. 1932, a już nowa wojna, straszna w swych skutkach, rozpętała się na półwyspie pirenejskim. Obecna wojna nie jest walką dwóch partyj czy dynastyj o władzę w państwie, jak to już nieraz miało miejsce, lecz jest to wojna, w której bierze udział cały naród hiszpański. Jest to zmaganie się dwóch światopoglądów, które występują w każdym prawie państwie. Z jednej strony stanął do walki t. zw. front ludowy, grupujący wokół siebie wszelkie czynniki komunistyczno-anarchistyczne, których hasłem jest śmierć i zniszczenie tego wszystkiego, co katolickie i narodowe. Przeciwstawia się temu nacjonalizm, wspierany przez tych wszystkich, w których odezwał się obowiązek złożenia daniny krwi dla dobra narodu i całości państwa. Mamy możność obserwowania, jakimi środkami posługuje się każda ze stron walczących. Krew w żyłach tężeje, gdy czyta się o wszystkich okrucieństwach, rzeziach, mordach, rabunkach i podpaleniach, jakich dopuszczają się czerwoni na niewinnej ludności. Z jakim szatańskim wyrafinowaniem torturują oni biskupów, księży i zakonników. Niszcząca żądza nie uszanowała nawet spokoju zmarłych, których wywleka się z krypt i grobowców ku uciesze zdziczałego żołdactwa. Powtarzają się wprost czasy prześladowań pierwszych chrześcijan. I to wszystko dzieje się w wieku największego rozwoju kulturalnego i cywilizacyjnego ludzkości. W wieku, w którym zmysł piękna u jednostki osiągnął, zda się, swe maximum. Tak więc wojna hiszpańska jest ciemną plamą na jasnym tle naszej epoki. Jest hańbą, którą należy zmyć, a tym bardziej unikać.

Stanowisko nasze wobec tych wypadków musi być jasne i zdecydowane. Po czyjej stronie jest słuszność — bardzo łatwo spostrzec, chociażby ze środków i sposobów, jakimi posługują się oba walczące fronty. Bardzo usilnie powinniśmy starać się, by coś podobnego nie zaszło u nas. Nasze miano „przedmurza chrześcijaństwa“ musi nas zdecydowanie postawić przy boku katolicyzmu.

Nasza ziemia — relikwia, krwią dziadów zroszona, nie może stać się terenem żadnej wojny, tym bardziej domowej. Dziedzictwo Chrobrego i Jagiellonów musi być utrzymane. Nie tylko utrzymane — ale powiększane wedle sił i możności. Niech więc wojna hiszpańska będzie dla nas przykładem odstraszającym a zarazem ostrzeżeniem.

Miejmy przed oczyma jeden cel, najlepszy, a tym — dobro Narodu.

S. R., G. P. R. T.

PEWNEGO PISMA SZKOLNEGO HISTORIA NIE BARDZO SMUTNA.

Za górami, za lasami, za rzekami
było miasto, a w tym mieście były szkoły.
Każdego ranka,
niosąc śniadanka,
rzesze młodzieży,
jako należy,
do szkoły, częściej na wagary
szły.
Nad rzeką, w słońca promieniach,
albo w drzew cieniach
panny siadały,
pudrowały się, malowały, opalały,
a przede wszystkim plotkowały.
Chłopcy się kąpali,
w piłkę, w karty grali,
palili papierosy
i w bójkach o bodganki tłukli sobie nosy.
I dobrze wszystkim tak było,
ale się rychło skończyło.
Dyrektorzy,
profesorzy
zjechali się do stołecznego grodu
i orzekli, że młodzież
jest przyszłością narodu.
Młodzież się tem przejęła,
na kieł wzięła.
Porzuciła zabawy,
zakasała rękawy,
zabrała się do pracy,
do społecznej pracy.
Stworzono koła, kółka, związki,
lecz teren był zbyt wąski.
Młodzież czegoś więcej chciała,
czego chciała — powiedziała:
„Są organy polityczne,
są organy zawodowe,
czemużby nie miały istnieć
nasze pisma — młodzieżowe?“
Zebrało się gremium dyrektorskie.
Zebrali się profesorzy,
dyskutowali, rozprawiali,
bardzo się oburzali:
„Toż to fakt jest niepojęty,
żeby młodzież, panie święty,
pism swych chciała. Do nauki,
skończyć mi te banialuki.“
Wreszcie po długich sporach grono całe
powzięło uchwałę:
„Słuszną jest rzeczą, aby młodzież miała
swe pismo, gdzieby pisała,
myśli swe wyrażała.“
Zbiera się znowu dyrektorów grono,
mrucząc, że młodzież kłopoty im sprawia.
Po długich, długich sporach tak rzecz
rozstrzygniono:
„Pismo będzie, lecz się postanawia
jednego dyrektora
na stanowisko administratora.
Resztę odsyłamy humanistom.“
Humaniści — polonistom.
Poloniści komisję wybrali,
by przez nią nad pismem czuwali.
(Opieka jest konieczna,
bo młodzież trochę niegrzeczna.)
Lecz z procedury takiej uczniowska gromada
nie była bardzo rada.
„Koleżanki, Koledzy!
„Belfry“ bez naszej wiedzy
pismem rządzą.
Nie dajmy dmuchać sobie w kaszę,
pismo jest nasze.
Koledzy, najwyższa już pora,
by wybrać redaktora.“
Tak krzyczał jeden z młodzieży.
Już w szkołach bunt się szerzy:
„Redaktora, my chcemy redaktora!“
Zebranie ogłoszono,
delegatów sproszono,
wyborów dokonano
i władze o wynikach
poinformowano.
„Nie!“ — powiedzieli dyrektorzy.
„Nie!“ — powtórzyli profesorzy.
„Nie zatwierdzamy,
swego placet nie damy.“
Znów było wiele kłótni, gniewów, sporów,
aż do następnych wyborów,
bo wtedy sine ulla mora,
votorum pluralitate,
wybrano redaktora.
Ten zyskał aprobatę
kuratora.
Wybór zatwierdzili poloniści,
zgodzili się profesorzy,
„placet“ dali dyrektorzy.
Z tą chwilą młodzież cała
do pióra się zabrała.
Pensjonarki, sztubacy,
rzucili się do pracy
i piszą:
artykuły, poezje, nowele,
psują papieru bele
i atramentu strugi,
ja rok długi.
To poeci, politycy,
noweliści i krytycy.
Tamci piszą reportaże,
to są — dziennikarze.
Ciągle robią wywiady,
a taką mają naturę,
że muszą wejść w każdą dziurę.
Inni piszą szarady...
Słowem pośódr młodzieży
grafomaństwo się szerzy,
najlepszym przykładem tego:
ego.

ajax.

Na łonie natury.

Lato, cudowne lato...

Takie miłe, takie ciepłe, takie dobre...

Rozkoszne i rozleniwiające słońce kapie złotem promieni. Żaden wietrzyk nie spłoszy szumu z drzew. Dziwny a zarazem luby bezwład napełnia rozpalone powietrze.

Miałeś rację, Kordianie. Mnie się też nie chce ruszyć palcem.

Bo po co i na co?

Czy mi jest źle? Czy to nie wakacje?

I teraz, gdy kąpię się w ciepłodajnym słońcu, nie chce się wcale myśleć, a więc jest się nawet... bezmyślnym!... Leżę twarzą do słońca, a mówiąc na sposób nowoczesny — „frontem“ do słońca. Patrzę przed siebie, w górę...

Po bezkresnym oceanie błękitu płyną nikłe, zbłąkane obłoczki. Te mleczne plamki wywabia słońce tak, że nikną one wolno... lecz ciągle... i wreszcie roztapiają się w... nicość.

Mimo woli przypominają mi się dysputy na temat nicości. I myślę bezładnie, bez związku...

Czy życie człowieka nie jest podobne błądzeniu owych mlecznych istot? Czy nie jest ono podobne rozpływaniu się w przerażające „nic“?

Smutne to myśli i dręczące przecież każdego, kto myśli nad sobą i nad innymi, nad swoją rolą w życiu, nad tym wreszcie, co życie ma nam przynieść, nad przyszłością. I pytamy się swego sumienia:

„Czy jest coś poza tym doczesnym życiem?“

— Nic!... Nic!... Nic!... — ktoś gorąco zaprzeczył.

— Dlaczego? — zapytałem ciekawie słuchając.

— Wszystkie dążenia ludzi do zdobycia za życia i po śmierci rozgłosu, czy też sławy najwyraźniej nam mówią, że po śmierci tej sławy się nie zdobędzie, że po śmierci nie osiągnie się niczego! Życie kończy się ze śmiercią; po tym nie ma nic!...

— Tak mówisz, bo chcesz tego, bo pragniesz tego!...

— Nie!... Wcale!...

— A uderz się w piersi i spytaj, czy czyste masz sumienie! Ono cię dręczy i mówi, że winy swoje musisz odpokutować. Ty nie chcąc ponosić odpowiedzialności za swe złe czyny — mówisz, że nie ma sądu, że życie pozagrobowe, które będzie kiedyś dniem sądu i zapłaty, nie istnieje!...

Cisza... Żadne słowo sprzeciwu nie wypłynęło na wargi...

Przekonałem jego i siebie. Może nawet jego nie, lecz siebie w każdym razie na pewno. I cudniejszy wydał mi się świat. Warto żyć! Teraz tylko czerpać siły z przyrody, gdyż tylko ona może odrodzić człowieka, gdyż tylko jej piękno może do nas przemówić.

Jest mi dobrze...

Pierwszy raz nie miałem w sercu smutku, pierwszy raz czułem się szczęśliwy, gdyż wiedziałem, po co żyję!... Wystarczy mała chwila prawdziwego szczęścia, aby zapomnieć o wielkich smutkach!

Edw. S., G. P. H. S.

JESIENNE MELODJE.

Już ranki wstają rzeźkie w kroplach srebrnej rosy,
Dojrzały błękit nieba płynie ponad głową —
Na pustych ścierniach gra świerszcz sonaty wrześniowe
Brzozie płaczącej, co na wiatr puściła włosy...

Południem jeszcze skrzącym palą się niebiosa,
A zmierzchy płoną wczesne zorzą purpurową...
Noc kąpie się w oparach szaro opalowych,
A wiatr zawodzi cicho bolejącym głosem...

Przydrożnym drzewom słońce daje krew i złoto,
Wiatr niesie w dal bezkreśną wątłe pajęczyny,
Szumi pieśń pożegnalną żurawim odlotom...

Szczęśliwe! W dal słoneczną, w kraj wiosny popłyną...
A ja — zostanę z zmierzchów jesiennych tęsknotą
I marzyć będę w szare, jesienne godziny...

W. W... G. P. H. S.

Jego pierwsza miłość.

Kazio Józiczek zakochał się. Zakochał się nie tak zwykle, prozaicznie, lecz na życie, na śmierć... O pierwsza miłości, miłości pełna fiołków i cichych westchnień i namiętnego tykania dwóch serc. O miłości! — ty jesteś ponad poziomy, ty jesteś wszystkim, a reszta to plebs. Więc nic dziwnego, że Kazio Józiczek gorejący miłością, jak piec w kotłowni, lub jak głowa poety, widział zamiast krzywych trójkątów jej piękne nóżki, zamiast łysiny profesora jej włosy kokieteryjnie rozwiane jak strzecha po burzy, jej oczy, jej zadarty nosek, jej usta.

Ach, co za usta! usta, jak pęknięty granat hiszpański...

— „Józiczek!“ — Ostry, jak brzytwa głos profesora przerżnął na dwie równe połowy jego marzenia, które z szelestem i jękiem serca schroniły się w tajniki jego umysłu. Kazio poderwał się, jak balon do lotu i gdyby nie pułap sufitu umknąłby, pełen lekkich westchnień miłosnych.

— „Chodź tu, na środek!“

Poszedł krokiem niepewnym.

— „Co... znaczy...“ — profesor cedził słowa powoli, jak dojarka mleko przez sitko... — „Co znaczy po łacinie „czubek“, „grzebień“?

— „Czub, grzebień?“ — powtórzył Kazio, czując, że naprawdę czub jego zabójczej fryzury podnosi się nienaturalnie.

Profesor spojrzał jeszcze ostrzej i wbił wzrok, aż po rękojeść, tuż koło nosa skazańca. Kazio zaczął ruszać wypchanymi barami, zarzucając równocześnie błagalne spojrzenia na pochylone głowy. „Crista “ — popłynął od ławek nieśmiały szmer, jak protest Ligi Narodów i rozwiał się, jak nadzieja pokoju. „Crista!“ Serce mu drgnęło i zagrało hymnem miłości.

Krysia! Krysia! I znów zobaczył utlenione loki, wymalowane usta i zadarty nosek. Wpatrzył się w swe cudne widzenie i błogi uśmiech wypełzł na jego usta.

— „No, proszę!“

Pierzchło marzenie i Kazio stanął wobec nagiej rzeczywistości. „Crista “ — usłyszał cichy szmer. „Krysia!“ — zawołało serce. „Krysia“ — powtórzyły usta.

— „Ach!“ — jęknął profesor i opadł na fotel, jak barometr na burzę. Ponura cisza wypełniła klasę od podłogi aż do sufitu. Nagle profesor wstał, spojrzał groźnie, załamał ręce z trzaskiem i... wyszedł.

Zdzisław Żuk, G. P. R. T.

Harcerze mówią.

Kronika harcerska.

Podczas ubiegłych wakacyj akcja obozowa III-ciej Dr. Harc. im. W. Łukasińskiego stała na wyższym poziomie, niż w latach ubiegłych. Na obozie drużyny, który odbył się w Wąsoszu i trwał od 9 do 29 lipca b. r., było 24 harcerzy, podzielonych na 3 zastępy, oraz opiekun drużyny p. prof. Steczko. Ponadto 8-miu członków drużyny zostało przeszkolonych na innych obozach i kursach. I tak: 1 harcerz był na kursie podharcmistrzowskim w Żarkach od 24 czerwca do 8 lipca, 3-ch harcerzy było na kursie instruktorskim również w Żarkach w tym samym terminie. Wszyscy kurs ukończyli z wynikiem pomyślnym. Prócz tego 3-ch harcerzy było na kolonii dla zastępowych w Kocierzowach od 1 do 10 sierpnia, 1 harcerz na kursie żeglarskim nad morzem od 1 do 28 sierpnia.

Po wakacjach praca w drużynie rozpoczęła się pod znakiem „Wyścigu Pracy“. Polega on na dokładnym rozplanowaniu pracy harcerskiej na przeciąg 3-ch lat (od 1 września 1936 do 1 września 1939), przy czym w każdym roku mamy do zrealizowania pewne hasła, podane przez Naczelnictwo Z. H. P. Za wypełnienie swoich zamierzeń, na podstawie uzyskanej ilości punktów, drużyna otrzymuje jeden z tytułów: drużyny Przodującej, Pracującej lub Na błędnym tropie. Pierwszy rok zwie się „Wyścigiem Wycieczek“, a hasłem tego roku jest: „Przenieść pracę harcerską na pola i lasy.“ „Wyścig Wycieczek“ rozpoczął się „Apelem wycieczek zastępów“ (12 — 21. IX). Apel odbyły wszystkie zastępy III-ki i tak: 4 zastępy 13 września na wycieczce w Prędziszowie, 2 zastępy 20 września w tym samym miejscu. Prócz tego z 19 na 20 września 2 zastępy urządziły wycieczki z nocowaniem do Kalei.

Dnia 6 września wizytował drużynę dh. hm. Brzeziński, Komendant Chorągwi Zagłębiowskiej.

Dnia 7 września drużyna wzięła udział w akademii na cel L. M. K. w Teatrze Kameralnym, urządzonej przez grupę Lit-Ars. Wystąpiliśmy w obrazku „Przy ognisku“.

Dnia 29 września Przewodniczący Z. H. P. wojewoda Grażyński, obchodził imieniny. Drużyna uczciła dzień imienin przy „Kominku“.

L. Wysocki, drużynowy 3 Z. D. H.

Wzywam wszystkie drużynowe i drużynowych drużyn w częstochowskich szkołach średnich do pomocy w prowadzeniu kącika harcerskiego i proszę o danie znaku życia w kronice harcerskiej.

Czuwaj!

L. Wysocki.

* * *

Druh komendant ogłosił podczas naszego pobytu na obozie konkurs na najbardziej nieprawdopodobne opowiadanie harcerskie. Słotny dzień wpłynął na niski poziom „kawałów“. — Spośród prac „najlepsze“ było opowiadanie

HIPEK - BOHATER

czyli noc wielkiej przygody.

Od 12-ej (godzina duchów) do 1-ej Hipek miał wartę. Któż to był? Jeden z najodważniejszych obozowców. Wyglądał jak każdy nieprzeciętny bohater, wprawdzie nogi mu się

trzęsły, ale mówiono, że to „od wiatru". Do rzeczy!

Hipek wziął 12 noży fińskich oryginalnych (35 zł. każdy, czyli jak uciął 420 zł. tuzin, a odliczywszy 10 procent rabatu, to jakby nie było 375 zł. jak drut), mandolinę oryginalną włoską z czarnego dębu, rodem z Mediolanu, na której ongiś tatuś Rinaldo Rinaldini grywał smętne serenady pod balkonem ukochanej. Kapał sobie deszczyk...

Hipek-bohater nie bał się deszczu. Wogóle on się wody nie bał. Był przecież świetnym pływakiem. Woda, to jego żywioł. Jak z niej wychodzi, to płacze, że nie może dłużej zostać.

Ale Hipek nie był „frajerem". Wlazł w menażkę, przykrył się „dekielkiem" i od czasu do czasu obserwował teren. Nagle... Usłyszał szelest i kroki zbójców.

A zbójców było dwunastu.
Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknie plugawe,
„Majchry" za pasem, „spluwa" w garści błyska,
A w ręku... karabin maszynowy...
Hipek-bohater wylazł z menażki.
Dwunastu zbójów — dla Hipka fraszki.

Wziął latarkę, powiesił na końcu kilkumetrowego kija i wystawił hen w górę. Bandyci myśleli, coby on był taki wysoki i wystrzelali w latarkę amunicję.

Drużyna twardo spała,
Strzałów nie usłyszała.
Natenczas Hipek chwycił na pasie przypięty
Swój nóż fiński, długi, centkowany, kręty,
Jak wąż boa. Oburącz go w swej garści ścisnął
I melodyjnym ruchem nieomylnego ramienia
Zbója do sosny przycisnął, jak motylka.

Ale poszedł po rozum do głowy (na drogę stracił pół godziny w jedną stronę), że za długoby trwało zabijanie indywidualne i przeprowadził zbiorowo. Nałożywszy swoje 11 noży fińskich oryginalnych (dwunastym przycisnął zbója do sosny) na cięcie mandoliny jął szyć w zbitą gęstwę wroga.

Za chwilę blady księżyc wyjrzawszy z za chmury,
Ujrzał pobitych zbójów, zakrwawione mury.
Na których stanął hipek grał na mandolinie.

Zaintrygowany nagłym szelestem skoczył na sosnę. I wiedział co zrobił. Albowiem ten ułamek sekundy zadecydował o istnieniu jego cielesnej powołki, w której taki niepospolity duch się mieści. Z za krzaków wynurzyły się krwawe ślepia dwunastu wilków. Straszne zwierzęta rozpoczęły niezwłocznie biesiadę na trupach zbójów. Hipek nie zemdlał i pracował „móżdżkiem" na zimno

12 skór wilczych po 50 zł.	—	600 zł.
10 proc. pod. dochodowego	—	60 zł.
ostatecznie		540 zł.
a odliczywszy		378 zł. na

12 nowcyh noży fińskich, to zostaje, jak obliczył, 162 zł. feingeldu.

Tymczasem przewidywania zawiodły. Wilki zjadłszy ze smakiem dwunastu zbójów, poczuły w brzuchach noże, wobec tego nie pozostawało im nic do zrobienia, jak po krótkich (noże były ostre), lecz ciężkich cierpieniach odwalić kitę. Hipek zlazł z drzewa, wyjął z wilczych brzuchów noże i obciągnął cenne skórki ze zwierzyny. Wartował dalej, a upojony triumfem cofnął zegarek o 3 godziny, czekając na nową przygodę. Obejrzał mandolinę i stwierdził, że ma nawalone struny. Niewiele myśląc, wyciął 8 strun głosowych z gardzieli bandytów i nareperował mandolinę. Poczuł głód. Wobec tego poszedł do kuchni ogryzać kości à la żyłka. Przypadkiem spojrzał za siebie. Włosy stanęły mu dębem z przerażenia. Okazało się, że niedogaszone ognisko roznieciło... pożar.

Las płonął, jak pochodnia,
Tysiące hektarów dębów, buków i sosen
— — — — — — — — — — — — — —
Waliło się bezładnie na ziemię wyraju.
Cóż Hipek?
Wzdął policzki jak banię, w oczach kwirą zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
I wydobywszy z niego cały zapas ducha — splunął.
Lecz róg trzymał, wszystkim się zdawało,
że Hipek pluje jeszcze, a to echo plwało.
Zagasił...

Wrócił uradowany i dumny do obozu. Zdala posłyszał okrzyki wiwatujących na jego cześć kolegów. Druh drużynowy czekał z wieńcem laurowym wraz z całą drużyną. Wszyscy pytająco spojrzeli na Hipka. A on na to... jak na lata:

„I wy mnie pytacie z pijanym hałasem,
Co znaczy ten nóż fiński, zatknięty za pasem,
Dlaczegom się czarną podparł mandoliną?"

Trzeba trafu, że jedna sosna się zwaliła i Hipka w „móżdżek" przywaliła. Mały bohater upadł i... obudził się.

P. S. — Nazajutrz o świcie na sznurze suszył się siennik Hipka, noże fińskie, mandolina, ta część bielizny, o której przy kobietach się nie mówi i wreszcie suszył się sam Hipek smętnie majdając kończynami.

Zastęp „słoni" 3 Z. D. H.

Z cyklu moich wycieczek po Wileńszczyźnie.

„Czemu ciemny las tak zachmurzył się,
Smutkiem czarnym gęsto zamglił się.
Gdzież podziała się twa mowa wysoka,
twa duma głęboka...?
A. Kolcow.

Po tygodniowym pobycie na „wywczasach wakacyjnych“ w Wilnie postanowiłem zwiedzić niektóre okolice, otaczające stolicę, w której króluje Patronka pobożnego ludu wileńskiego, Matka Boska Ostrobramska. Studiując w tym celu mapę Wileńszczyzny, rzuciłem okiem na część powiatu dziśnieńskiego, opierającą się o granicę polityczną Rosji Sowieckiej i odniosłem wrażenie, że dwa zasadnicze kolory decydują tu o charakterze miejscowości i odrębne na jej obliczu wyciskają piętno: zielony jako wskaźnik stopnia lesistości okolicy i błękitny, oznaczający miejsca gęsto tu rozsianych zbiorników wodnych. Cały niemal południowy odcinek zielonej na mapie przestrzeni to wynoszące przesło 15 tysięcy ha lasy prywatne, Puszczą Hołubicką zwane. Bez porównania większy obejmwoały niegdy obszar lasy Puszczy Hołubickiej, łączące się na wschodzie przesmykami leśnymi lub błot i bagien pasmami, z większymi partiami lasów Mińszczyzny i Witebszczyzny. Obecny, z zagładą równoznaczny, stan swój, zawdzięcza Puszcza Hołubicka polskiej wyłącznie siekierze, pod uderzeniem której padły nie tylko wiekowe drzewostany, ale, co główniejsza, nienadające się jeszcze na wyrąb, — przeistoczyły się ogromne połacie leśne w tchnieniem martwoty owianie pustkowia; beznadziejne wydmiska piaszczyste, miejsce borów sosnowych zajęły. Rozczarowania doznać musi zwiedzający Puszczę Hołubicką, znalazłszy się na terenie jej lasów, na pastwę rozmaitego kalibru spekulantów oddanych, oczom jego bowiem przedstawi się obraz, przerastający wszelkie pojęcie o niszczycielskiej działalności człowieka, odsłoni przed nim widok, przewyższający wszystko, co dało się kiedykolwiek widzieć w eksploatowanych rewirach lasów państwowych. — Dziś z dawnej puszczy została tylko nazwa.

Pargnący zwiedzić Puszczę Hołubicką dojeżdża koleją przez Podbrodzie i Królewczyznę do stacji Podświle, skąd furmanką lub piechotą przebywa 12 klm. mało urozmaiconej piaszczystej drogi, wiodącej do położonej na skraju lasów Strażincy K. O. P. „Czyste“. Tu zaopatrzywszy się w przepustkę, udaje się wycieczkowicz do odległej o kilka klm., znajdującej się w strefie nadgranicznej osady Hronowo II, gdzie dzięki uprzejmości właściciela tej osady p. Kuźmy Swatka, może zdobyć szereg ciekawych i cennych informacji, dotyczących Puszczy, jej przeszłości i teraźniejszości. Pomimo straszliwej dewastacji Puszczy Hołubickiej, pomimo barbarzyńskiego z szaty leśnej odarcia większej części jej powierzchni, zachowała ona jednak sporo uroku pierwotności i dzikości, pociągających fragmentów puszczańskich, zacisznych i odludnych uroczysk, złomami i wywrotami zawalonych, trudnych do przebycia mateczników.

Przeważającym typem ocalałych drzewostanów Puszczy jest występujący oddzielnymi wyspami śród otwartych pagórkowatych przestrzeni, czy też śród błot trawiastych i mchowych, bór sosnowy miejscami jednolity na glebie gęsto igliwiem usianej, bez podszycia i runa leśnego, posępny i monotonny, gdzieniegdzie z domieszką brzozy, na wrzosowiskach, o wyglądzie weselszy nastrój budzącym. Pospolitą również na terenie Puszczy formację stanowi mszar sosnowy z wegetacją karłowatej, niekiedy uschniętej sosny, u stóp której ściele się kobierzec mchu i żórawiny. Iskrzące się srebrem tu i ówdzie na tle melancholijnej szarzyzny mszaru głębokie jeziorka urozmaicają jednostajny, w głuchej pogrążony ciszy krajobraz puszczański. Inny roztacza się widok w miejscach, gdzie mszar w ostępy błotniste przechodzi, inny tu nastrój: suchotnicza sosna ustępuje miejsca karłowatej brzozie, mech — kwaśnym i twardym, białym puchem wełnianki przetkanym bujnym trawom ,a krzaki łozy i wikliny gąszcz nie do przebycia nieraz tworzą. A ponad tym wszystkim dominuje zawieszone u góry w przestworzach błękitne niebo.

Mieczysław Kwapisz, P. G. T. kl. VII-a.

KĄCIK DLA MŁODSZYCH.

GADANIE BORU.

Cisza... Wtem jęk odległy wiatr z gęstwiny niesie...
Cisza... Wtem płacz lękliwy rozległ się po lesie...
Cisza... Tylko caś sennie marudzi dąb stary,
Omotany we własne potężne konary...
Cisza... To tylko brzoza szlocha rozbolała...
Cisza... Nie... To osika strwożona zadrżała...
To znów świerk tajemniczo coś do sosny szepcze
Tylko jesion spokojnie mchy zalękłe depcze...
Wtem — jakiś śmiech tajemny rozdzwonił się w borze...
Ale — umilkł... Znów cisza... Już budzą się zorze...

H. Habinowski, III-b G. P. H. S.

Moja najweselsza przygoda wakacyjna.

Otworzyłem oczy. Był już dzień. Słońce, które stało nisko nad lasem, rzucało złotą smugę z promyków. Spojrzałem na ścianę, gdzie zwykle wisiała flinta leśnego, u którego spędzaliśmy wakacje. I tym razem znajdowała się na swoim miejscu, co świadczyło, że Marcin jest w domu. Ucieszył mnie ten fakt niewymownie, gdyż miałem się udać z nim na polowanie. — Szybko zeskoczyłem z posłania. Ubrałem się w oka mgnieniu i wybiegłem przed chatę. A więc idę na polowanie. Marcin rąbał drzewo na podwórku. Z lasu dochodziły odgłosy budzącego się do życia świata leśnego. Słychać było przede wszystkim wesoły świegot ptasi. Słońce już oświecało poręby na stokach gór, pomiędzy którymi przemykał się, świecąc w słońcu kolorami tęczy, górski potok.

— „Czy idziemy, Marcinie?“ — zapytałem leśnego, ubranego w krótką kurtkę myśliwską.

— „A ino, idzimy“ — odparł zagadnięty. Wszedł do chaty, a po chwili wrócił, niosąc fuzję i flower, który był przeznaczony dla mnie.

Wziąłem broń i z miną starego myśliwca zarzuciłem ją sobie na ramię. Ruszyliśmy przed siebie w stronę pobliskiej góry, na której rósł gęsty bór bukowy. Od lasu szedł ożywczy zapach macierzanki. Szybko wspięliśmy się na górę i wkrótce znaleźliśmy się w lesie. Panował tu półmrok. Gdzieniegdzie tylko przedzierały się promienie słońca, które rzucało złote smugi na barwny kobierzec mchów. Cicho szumiały drzewa, z daleka ryczało bydło, pasące się na leśnych wyrębach, to znów rozlegał się śpiew pasterzy. Zdawało mi się, że jestem średniowiecznym księciem, który poluje na tury i niedźwiedzie w głuchej puszczy. Było mi dobrze wśród tych drzew, muskanych ciepłym wiewem wiatru, idącego z południa.

Minęliśmy jedną, drugą polanę i zatrzymaliśmy się w gęstym borze. Tu Marcin wskazał mi wschodni kierunek, sam zaś poszedł więcej na południe. Teraz otwierało się przede mną pole popisu. Ulokowałem się w zagłębieniu skały, skąd mogłem obserwować całą okolicę, będąc sam niewidziany. Rozglądałem się wokoło, czy czegoś nie ujrzę. Obok leżał nabity flower. Nie długo czekałem. Wkrótce wśród krzaków zauważyłem jakieś rogate zwierzę. Kozica — pomyślałem, kierując lufę floweru pod tylną łopatkę zwierzęcia. Padł strzał. Zwierzę zachwiało się i padło na zieloną murawę. Lecz w tejże chwili rozległ się krzyk:

— „Laboga, moja koza!“

Wybiegłem z ukrycia, chcąc się dowiedzieć, co się stało. Obok mniemanej kozicy, która okazała się zwykłą kozą, stała dziewczyna, głośno zawodząc. Nadbiegł wkrótce Marcin, który dowiedziawszy się, co się stało, zaczął pocieszać dziewczynę, obiecując sutą zapłatę za kozę. — Zabraliśmy kozę i wrócili do domu.

Dziś jeszcze, wspominając to polowanie na kozę, śmieję się szczerze z mojej przygody.

Jerzy Kwiatkowski, II-b G. P. H. S.

Zabawa o zmroku.

Cicha, wieczorna godzina,
Grzecznie bawią się dzieci:
Z kanapy robią samolot,
Który napewno poleci.
Poduszki będą sterem,
A stary fotel silnikiem;
Samolot napewno poleci
Z Hanką, Zbychem, Tadzikiem.

Cicha, wieczorna godzina...
Księżyc przez okno świeci
I patrzy, a tam na kanapie,
Jak w samolocie śpią dzieci.
Śnią im się dalekie podróże,
Dalekie i pełne niewygód...
Wtem upadł Tadzik z kanapy
I skończył się świat ich przygód.

A. Mąkosza, III-a G. P. H. S.

Wspomnienia z obozu.

Nic nie zapowiadało straszliwej burzy w przyrodzie, jedynie dzień był skwarny i duszny, jedynie jakaś cisza złowroga przygniotła świat i położyła na nim swe piętno. Zmierzch zapadł szybko i słońce rozpłynęło się w ciemnej purpurze na horyzoncie.

Przyroda jednak nie ułożyła się do spoczynku. Gdzieś nad Olsztynem szalała burza, którą myśmy mogli tylko z daleka podziwiać.

W wieczornej modlitwie każdy z uczestników obozu przeniósł się myślą do swoich, tam, gdzie niebo znaczyło się krechami błyskawic, polecając ich Bogu.

Po apelu wszyscy stali nieruchomo, poddając się bezwiednie urokowi tej dalekiej burzy. Wywarła ona na nas, w oprawie ciemnej nocy, wichru i tego potoku niebieskiego światła, niezatarte wrażenie.

Gromów wcale nie było słychać, ale w tłumionych odległością wybuchach burzy czuć i

widać było moc Bożą i stworzoną przezeń potęgę.

Wszyscyśmy się kładli, nie mogąc się wyzbyć wrażenia piękna i grozy tego zjawiska.

Ogień baterii niebieskiej nie ustawał. Nikt nie mógł jakoś zasnąć. Na dnie duszy każdego czaił się jakiś intuicyjny lęk przed czymś nieznanym, a strasznym.

Powoli z zachodu waliła na nasze karki burza, której dotąd byliśmy tylko niemymi świadkami. Szła w jakiejś szaleńczej orgii wiatrów i szumie drzew, szła groźna i swą mocą majestatyczna.

Każdy nakrył się kocem, wyczekując trwożliwie burzy. Teraz już nie tylko ją było widać, ale i słychać.

Ktoś tam odezwał się żartobliwie: „Wodę wiozą“. Słowa jego przygłuszył huk gromu.

I nic... Cisza... pełna jakiegoś niesamowitego napięcia, przerywana tylko wściekłymi zrywami wiatru. Aż zwaliła się na nas burza, dla której określenie „straszna“ jest stanowczo za małe, a trwała zaledwie 15 minut. Błyskawice, gromy i pioruny następowały po sobie nieprzerwanie, wśród ciemnej nocy i wiatru, zawodzącego żałośnie. Pioruny biły w dumne sosny raz po raz, zdało się, że niebo i ziemia wypowiedziały sobie wojnę, gotując zagładę.

Jasność niezwykła odkrywała różne przedmioty wyolbrzymione wyobraźnią w upiorne postacie, okryte przedtem cieniem nocy...

Koncert ten dziki i straszny, a piękny w swej grozie i niezwykłości kończył się i cichnął.

Niekiedy słychać było jeszcze pomruk, niekiedy zajaśniała błyskawica i ciemności znowuż zalewały otoczenie. Pomęczeni, mając przed oczyma burzę w całej jej okazałości, usnęliśmy wreszcie.

Sen skrzydłami ukojenia otulił świat...

Rano wstaliśmy, jak zwykle, słońce uśmiechało się po dawnemu, a przyroda tętniła życiem.

Burza zdawała się nam teraz, w promieniach wschodzącego słońca, jakimś snem urojonym, jakimś sennym widziadłem.

T. Keller, III-a G. P. H. S.

Wiadomości bieżące.

Z ŻYCIA I GIMN. PAŃSTW. IM. H. SIENKIEWICZA W CZĘSTOCHOWIE.

1) Działalność Samopomocy.

Już w pierwszych dniach roku szkolnego odbyło się walne zebranie Rady Przedstawicieli celem wybrania nowego Zarządu oraz ustalenia i uzgodnienia planu pracy na cały rok. W wyniku tajnego głosowania prezesem został kol. Jędrzejczyk kl. 8, sekretarzem — kol. Kurpiński kl. 8, skarbnikiem kol. Hankiewicz kl. 7. Prezesem Komisji rewizyjnej oraz kronikarzem gimnazjum został kol. Kulisięwicz kl. 8.

Pierwszym punktem pracy Samopomocy było urządzenie loterii fantowej, połączonej z zabawą w parku Staszica. Loteria odbyła się w niedzielę, dn. 20. IX. przy udziale licznie zebranej publiczności. Pogoda dopisała znakomicie. Loteria fantowa (o piękności fantów i zainteresowaniu publiczności niech świadczy fakt, że w niespełna półtorej godziny wszystkie losy zostały rosprzedane), strzelnica i wiele innych atrakcyj przyczniło się walnie do urozmaicenia zabawy. Krótko mówiąc, wszystko dopisało, ale... bo wszędzie musi być jakieś „ale“ — nie było widać wśród publiczności czapek i beretów uczniowskich. — Fakt ten jest tym dziwniejszy, że za to przybyła na zabawę w rekordowej ilości młodzież robotnicza i rzemieślnicza. Jest to dla nas miłym rozczarowaniem, gdyż przecież zrozumienia dla naszych poczynań spodziewaliśmy się przede wszystkim od młodzieży gimnazjalnej.

K., G. P. H. S.

2) Otwarcie świetlicy.

Dnia 30. IX. w godzinach popołudniowych odbyła się w Gimn. im. H. Sienkiewicza uroczystość poświęcenia i otwarcia nowej świetlicy. Salę tę — świeżo dobudowaną — wraz z urządzeniem ufundował Komitet Rodzicielski, nazywając ją imieniem ś. p. dr. Haliny Płodowskiej. Poświęcenia dokonał ks. pref. Sobański, otwarcia prezes Kom. Rodz., p. dyr. Molicki; nową świetlicę przejął imieniem szkoły p. dyr. Płodowski, w imieniu Samopomocy złożył podziękowanie kol. Kulisiewicz. Duża, widna sala z jasnymi meblami i kilimami robi b. miłe wrażenie.

Z WYBORÓW SAMOPOMOCY UCZNIOWSKIEJ PRZY GIMN. PAŃSTW. IM. R. TRAUGUTTA.

Dnia 28 września odbyło się po raz drugi w bieżącym roku szkolnym zebranie Rady Przedstawicieli klasowych. Na zebraniu obecny był opiekun Samopomocy p. prof. Julian Dudek. Na zebraniu przystąpiono do wyboru Zarządu Samopomocy, który przedstawia się następująco: prezes — kol. Zabłocki Wacław; wiceprezes — kol. Jung Mieczysław, sekretarz — kol. Włosiński Jan, skarbnik — kol. Weżgowiec Tadeusz. Do Komisji rewizyjnej wybrano: kol. Król Kazimierz — przewodn., Organa Grzegorz I członek, Szczepanowski Zygmunt II członek. Po odczytaniu sprawozdania z działalności Komisji wakacyjnej — zebranie zakończono.

SPRAWOZDANIE Z 1 ZEBRANIA DELEGATÓW „ŚWIATA SZKOLNEGO“ DNIA 16. IX. 1936 R.

Na zebraniu przewodniczył kol. Migalski Porządek dzienny był następujący:

1) Sprawdzenie listy obecnych.
2) Odczytanie sprawozdania z ostatniego, przedwakacyjnego zebrania.
3) Wybory Koimtetu Redakcyjnego i Komisji Rewizyjnej.
4) Wolne wnioski.

Po sprawdzeniu listy i odczytaniu protokułu, który przyjęto bez poprawek, przystąpiono do wyborów Komitetu Redakcyjnego, w skład którego weszli: kol. Kapuściński G. P. R. T. jako redaktor, kol. Balewski G. P. H. S. — zastępca redaktora, kol. Böslerówna „Nazaret“ — administratorka, kol. Sztajnerówna „Nauka i Praca“ — sekretarka i kol. Mrówkówna G. P. J. S. — zastępczyni. Do Komisji Rewizyjnej weszli: kol. kol. Liżak Szk. Handl. (przewodniczący), Chuchrówna Szk. Zaw. i Jeliński G. P. H. S. Kol. Migalski rozdał delegatom piśmienne przypomnienia o konkursie wakacyjnym, na który można nadsyłać prace do 28. IX. W wolnych wnioskach poruszono sprawę wieczorku, który chcemy urządzić 11 listopada; następnie przypomniano delegatom o konieczności uregulowania długów za prenumeratę „Świata Szkolnego“. Na tym zebranie zakończono.

w zast. sekret. *Zofia Mrówkówna.*

Na miejsce ustępującej kol. Mrówkówny Komitet Red. kooptował kol. Z. Zajdlera, jako zast. sekr.

KOŁO PRACY.

W dn. 9 bm. odbyło się zebranie organizacyjne Koła Pracy dla Państwa przy Gimn. Państw. im. R. Traugutta. W skład Zarządu Koła weszli nast. kol.: kol. Bilski Teodor — jako prezes, kol. Rybicki Stefan — wiceprezes i kol. Zejdler Zdzisław — sekretarz. Postanowiono, że działalność Koła nie może polegać na pracy wewnętrznej, ale musi wyjść poza obręb Gimnazjum.

Po omówieniu programu pracy zebranie zakończono.

Sekretarz *Z. Zejdler.*

Dział rozrywkowy.

SZARADA SYLABOWA.

Sylaby: a — a — bak — ban — ce — ci — cie — cze — e — fan — gi — i — in — ja — ja ja — je — joc — ka — key — ki — ko — kół kra — li — lil — lo — lon — mi — mis — my na — niak — ny — o — o — pe — pierz — ra ra — ra — re — re — seł — so — sy — szam ta — tac — tar — ter — ter — to — tro — we yp — za — zo — zon — zoł — zy — zy.

Znaczenie wyrazów: 1) Postać z „Ogniem i mieczem“, 2) Gruczoły, 3) Litera grecka, 4) Bęben, 5) Bakteria kwasu masłowego, 6) Frygijczyk wyprawiający si ępo złote runo, 7) Bogini płodów rolnych, 8) Naśladownictwo, 9) Imię żeńskie, 10) Ptak, 11) Rzeka w Niemczech, 12) Piechota in., 13) Zimne źródła, ubogie w składniki mineralne, 14) Odpadki przy rżnięciu drzewa, 15) Współzawodnik, 16) Zyzowaty in., 17) Napój wyskokowy, 18) Kamień do ostrzenia; 19) Utwór Mickiewicza z 1820 r., 20) Atak, 21) Ujeżdżacz koni wsp.

Kurator: *M. Bojarska.* Redaktor: *J. Kapuściński.*

Druk F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego, w Częstochowie, III Aleja Nr. 52, tel. 22 45.